

Utforum

miodowe lata

czerwiec 2001

Miodowi przedwakacyjni,

Koniec roku przyszedł do mnie prawie zupełnie niespodzianie. Zaszedł mnie z flanki. Oczywiście, jak każdy, czekałam nań z utęsknieniem, ale nałożyło się na siebie kilka czynników, które spowodowały moją małą dezorientację w ostatnim okresie. Po pierwsze, nawet nie zauważyłam, kiedy nastąpił maj i czerwiec. Tak to jest, jak się ma 11 dni wolnego, jakiś czas później wymianę międzynarodową... ;-) Ostatnie dwa tygodnie były dla mnie prywatnym piekielkiem. Od egzaminu do egzaminu, od zaliczenia do klasówki, odpowiedzi... Jak to zauważył nasz milusiński, Pan Szpileczka, los uczniów w czerwcu jest godny pożałowania. Wiem jednak, że czegoś takiego nie da się uniknąć „formalnie” (kłaniają się „Ludzie bezdomni” i pan Żeromski – przeczytałam na razie 40 stron. Ups!). Sama jestem sobie winna, że lektury do referatu z polskiego czytałam na cztery dni przed terminem, a nie kilka miesięcy wcześniej. Przynajmniej wiem, że w przyszłym roku będę musiała pracować bardziej systematycznie (hahahahaha), a wtedy szanse na uzyskanie dobrego stopnia z ustnego polskiego (Oooo!) na maturze bardzo wzrosną. O ile będę pisała nową maturę... Jak na razie, sprawa wygląda nieciekawie. A właśnie! Zaczęłam się przekonywać do novis wprowadzonych przez Edumina (tak, przeczytałam ostatnio „Rok 1984”, nie mylisz się)! Czy Ty też? Przyszłoroczni maturzyści – łączmy się w nieszczęściu!

„Tak się złożyło”, że miałam w tym roku nie tylko koniec harmonii, egzaminy przejściowe ze skrzypiec i fortepianu, ale także skończyłam swą edukację w dziedzinach historii (hip hip hurra!!!), chemii, fizyki, biologii itd. Jeszcze tylko rok i być może dostanę świadectwo dojrzałości. Co mam robić później? Skąd inni biorą odpowiedź na to pytanie? Całe szczęście, że mam jeszcze bezpieczne (ale pracowite!) dwa lata na Miodowej.

Niektórym właśnie się skończył czas miodowania. Dziś przeczytaj koniecznie wspomnienia Wojtka, a w następnych numerach postaramy się, by podobnych relacji było więcej. Tak jakoś się dzieje, że szkolnych znajomych mam coraz mniej, mimo że pojawiają się na Miodowej nowi uczniowie. Ale ta dzisiejsza młodzież... Żegnajcie, nieodżałowani Absolwenci! A właściwie nie! Do widzenia!

Paulina Kość

W numerze m.in.:

- O patriotyzmie lokalnym
- Miodowa od kuchni
- O miejscowej Wenus
- Dalsze rozważania o pracy w zespole
- Ogłoszenia drobne
- Siemiąta nostalgiczne refleksje na koniec szkoły

OGŁOSZENIA DROBNE

Praca pełna niespodzianek. Referencje niekonieczne. magis@post.pl.

Pełny etat lub godziny. Od września 2001. magis@post.pl.

Uczniów zatrudnimy w redakcji Utforum. magis@post.pl.

Praca dla Ciebie. magis@post.pl.

Jesteś sprawnym pisarzem? Lubisz pracować zrywami? Zgłoś się do nas. magis@post.pl.

Zajęcie dla szczególnie wytrwałych. Umów się na interview. magis@post.pl

NO WIĘC W KOŃCU JAK MAMY TO ZAGRAĆ???

Uff... dotrwaliśmy już prawie do końca kolejnego roku szkolnego. Jeszcze tylko ostatnie klasówki, egzaminy i nadejść wymarzone dwa miesiące beztrudnego „odmóżdżania”. Ten rok możemy raczej zaliczyć do udanych. Szczególnie ostatni koncert dyplomantów w S 1 bardzo się do tego sukcesu przyczynił ;-).

Sukces ten okupiony był jednak ogromną pracą i stresem na próbach (zwłaszcza sekwencyjnych). No i dobrze... „bez pracy nie ma kołaczy”, ale... Czy aż tyle czasu i prób wymagało przygotowanie, w końcu nie tak strasznie długiego koncertu? (tym bardziej, że orkiestrę podzielono na kilka składów i wysiłki orkiestrowców były częściowo zredukowane). Chyba nie! A więc należy się zastanowić, co powinniśmy zrobić, aby praca orkiestry była bardziej efektywna i przyjemniejsza (jeśli to jest w ogóle możliwe). Najbardziej rzuca się w oczy, a właściwie w uszy, nieprzygotowanie ludzi na próby. Rozumiem – dwie szkoły, tysiące klasówek, totalny brak czasu na ćwiczenie swojego programu, nie wspominając już o wypadach na imprezy. Znam ten ból. Jednak, prędzej czy później, wszyscy muszą te kawałki opanować. Jeśli zrobisz to wcześniej, oszczędzisz sobie stresu i będziesz mógł szpanować wirtuozowskim wykonaniem najtrudniejszych fragmentów orkiestrówek (prawda, że brzmi zachęcająco?). Jeżeli natomiast na dwa tygodnie przed koncertem delikwent zastanawia się nad nutami, to coś jest nie tak. Dotyczy to pojedynczych przypadków, ale rzutuje na poziom gry całej orkiestry. W tym momencie nie jednemu z was skojarzyły się te słowa z uwagami prof. Wajraka (ale bynajmniej nie on jest autorem tego artykułu). Weźcie sobie je do serca. Ale nie martwcie się, nie tylko wy jesteście winni.

W naszej szkole panuje powszechne przekonanie (lansowane przez Dyрекję) o wyższości orkiestry nad innymi przedmiotami. Wystarczy spojrzeć na drugoczącą przewagę ilości godzin orkiestry w tygodniu. Z przykrością muszę stwierdzić, że efekt naszej pracy nie jest współmierny z czasem poświęconym na przygotowanie koncertu. Niestety winę za ten fakt ponoszą częściowo organizatorzy orkiestry. Myślę, że nasz cenny czas jest na wielu próbach marnotrawiony, np. na kilkukrotne dyktowanie smyczków, znaków dynamicznych i artykulacyjnych. Są to uwagi bardzo istotne, zazwyczaj spontaniczne i wynikające z przebiegu próby, ale ogólny zarys interpretacji dyrygenta mógłby być naniesiony na materiały przed ich skopiowaniem. Zaoszczędzilibyśmy w ten sposób cenne godziny. O wiele gorszy w skutkach jest fakt, że np. sekcja skrzypiec miewa próby z trzema pedagogami. W pierwszej chwili wydaje się to bardzo korzystne, gdyż każdy z nich dzieli się swoimi uwagami. Wszystko byłoby dobrze, gdyby te sugestie (dotyczące przede wszystkim artykulacji, tempa, smyczkowania) były uzgodnione pomiędzy prowadzącymi. A tak niestety nie jest. Niejednokrotnie zdarzało się, że na próbach sekwencyjnych ćwiczyliśmy jakiś problem według koncepcji zupełnie odbiegającej od interpretacji prof. Wajraka. Takie próby nie miały sensu, wprowadzały chaos w grupie, bo nikt nie wiedział, jak my to mamy zagrać? Tak jak kaže Pan X, Pan Y, czy może Pan Z.?!? A może połowa ma grać tak, a druga połowa inaczej?

Wszystkie te problemy, a także wiele innych nieporuszonych w moim artykule, prowadzą do sytuacji, jaką mamy – uczniowie są przemęczeni, niezadowoleni i zbuntowani przeciwko orkiestrze. W takiej atmosferze trudno nam muzykować, a przecież po to jesteśmy w tej szkole. Nie jest moim celem zrzucanie całej winy na pedagogów, gdyż odpowiedzialność za obecny stan rzeczy ponoszą obydwie strony. Jednakże to przecież nauczyciele powinni służyć nam za wzór i od nich chcielibyśmy uczyć się profesjonalizmu.

Joozef E.

Kocham wspólne muzykowanie!

Spiewanie w chórze dało mi przekonanie o tym, że jeden muzyk to niewiele: kupą mości panowie! No, może jedne organy mogą tyle, co chór czy orkiestra – dużo dźwięków, współbrzmień, trudnych do wychwycenia niuansów harmoniczných, rozbudowana faktura. Początkujący chórzysta pilnuje zazwyczaj własnej partii i skupiony na sobie zapomina, że inni śpiewają coś innego, co należy do tego samego utworu, i dopiero po jakimś czasie dostrzega mrówczą pracę poszczególnych śpiewaków, dzięki której powstaje mrowisko czyli wykonanie utworu na estradzie.

Kiedyś, dawno już temu, zaskoczyło mnie, że mrowisko, jak góra lodowa, jest nie tylko wypukłością na powierzchni, ale ma także rozbudowaną część pod spodem. To, co widać i słychać na koncercie to jedynie wierzchołek naszego muzycznego mrowiska: słuchacz może jedynie domyślać się kolosalnego wysiłku zespołu i dyrygenta, włożonego w liczne próby, lekcje emisji, interpretację i budowanie kolejnych utworów, składających się na wykonywany program.

Słuchając i śpiewając Moich Dawnych Mistrzów (Bach, Gomółka) nabieram przekonania, że słuchanie innych członków zespołu to podstawa własnego wykonawstwa. Dopiero gdy się to zrozumie i uzna za ważne, można myśleć o tworzeniu własnej partii – bądź co bądź części całości.

Nad całością zaś panuje dyrygent. Ogarnia wszystkie głosy, swoimi uwagami kształtuje ich brzmienie, gestami nadaje wyraz dźwiękom. To ważna funkcja. Laik może powiedzieć, że skoro zespół wychodzi na estradę już przygotowany, to dyrygent spełnia li i jedynie rolę dekoracyjną. Nic bardziej błędnego! Dopiero przed publicznością powstaje ostateczny kształt utworu i dopiero wówczas dyrygent dopełnia swego dzieła. Również dopiero wtedy zacieśnia się ostatecznie ta więź, która snuje się powoli w czasie prób. Nić emocji, przyjaźni i zrozumienia, z której tką się latami atmosferę zespołu. W codziennej gonicznej zapominamy o tym aspekcie. Niesłusznie. Wspólne przeżywanie prowadzi do Sukcesu.

Kończąc te rozważania pragnę podkreślić, że moje doświadczenie chóralne to jedynie pretekst czy podstawa do zajęcia się tematem pracy w zespole. Większość powyższych refleksji jednakowo dotyczyć może orkiestry, zespołu kameralnego czy... drużyny piłkarskiej. Zespół to zespół.

Kol Oratura

Miodowa eksportowa

W nawale codzienności i pracy nad repertuarem egzaminacyjnym łatwo zapomnieć o tym, że nie tylko klasyczną muzyką żyje człowiek. Zapatrzeni w Bacha, zauroczeni Beethovenem i zaintrygowani Szymanowskim nie pozostawiamy sobie dość czasu na słuchanie innej muzyki, a już granie jej należy właściwie do rzadkości. A przecież duża część z nas nie będzie grała zawodowo klasyki. Oczywiście, trudno przeciwstawić się tezie, że klasyka to podstawa. Nie taki jest zresztą mój cel.

Będąc na koncercie zespołu Jazzda, w którym grają nasi miodowi znajomi, można było zauważyć szczególną dumę młodzieżowej publiczności klubu Jazzgot z tego, że występująca grupa wywodzi się z tego samego gniazda. Impreza była całkowicie pozaszkolna, a czuło się „Ducha Miodowej” i pełnię integracji sali. Podobnie było też wcześniej, n.p. na koncercie piosenek Andrzeja Zauchy, organizowanym m.in. przez Jacka Rąbińskiego. Inny gatunek, inne możliwości, świetne wykonanie, odrobina zdziwienia i ogrom patriotyzmu miodowego.

W tym kontekście Miodowa eksportowa jawi się jako szkoła o szczególnych możliwościach, głęboko zakorzenionej tolerancji i niczym nieograniczonej inwencji.

ciąg dalszy na stronie III

Miodowa od kuchni

utforum 7 (20) III

ciąg dalszy ze strony II

Gdy do tego równania dodamy coroczne Forum, gazetę i na przykład nagrywanie płyt, powyższe walory podnoszone są do kwadratu. Co ja mówię? Do trzeciej! Do czwartej!

Miodowa codzienna, ta od egzaminu do egzaminu (albo od koncertu szkolnego do koncertu szkolnego), jest znacznie biedsza, jak wszystko zwykłe i powszednie, jednak zazwyczaj pogodna i uśmiechnięta, pełna wdzięku i... wyczekiwania. Atmosfera niespodzianki unosi się nad naszą szkołą jak mgła nad łąką. Wszyscy, świadomie lub nie, czekają na mniej formalne szkolne i pozaszkolne występy kolegów, chcą odkrywać niedostrzegalne czasem powszednim okiem walory, talenty i możliwości, ukryte pod szczelnym płaszczkiem obowiązującego w szkole kanonu repertuarowego. Odrobina niecierpliwości, podniecana wspomnieniami z przeszłych koncertów jazzowych, metalowych, ludowych czy może tylko nie-poważnych, dodaje naszej Miodowej animuszu i podkreśla jej niezależny charakter.

Summa summarum: Miodowa to szkoła z charakterem.

Felix

Miodowa od kuchni (7)

Nie, to nie jest błąd w tytule. "Jak to?" - powiedzą dociekliwi matematycy. "Przecież ostatnia część >>Miodowej od kuchni<< miała numer 5. A po 5 zwykle następuje 6, a tutaj jest 7, więc to chyba błąd." A jednak nie, moje drogie kujony. Rzeczywiście, po 5 zwykle następuje 6, i nastąpiłoby. Napisałem do ostatniego numeru nawet dwie wersje artykułu, ale niestety moja ulubiona Paulinka żadnej nie wydrukowała, bo skrytykowała w nich gazetę. (Czyżby cenzura?) Teraz długo zastanawiałem się, czy w ogóle coś pisać dalej. Ale niech będzie moja strata, najwyżej znowu Paula odrzuci moje wycieczki i cały mój trud pójdzie na marne. Nic to. Jeden trud więcej, jeden mniej...

A teraz trudów jest bardzo dużo, bo jak to wszyscy chyba zauważyli, mamy koniec roku szkolnego. Nawet redakcja zadbała, by z tej uroczej okazji rozpisać kolejny konkurs. Z tym pięknym okresem wiąże się zwykle stres i harówka przed zaliczeniami. Szczególnie dotyka to takie biedne maleństwa, jak my. No bo oprócz upierdliwej baby z biologii, która pyta pięć razy na jednej lekcji, oprócz złośliwego dziada od historii, który robi testy z materiału od pierwszej klasy podstawówki i oprócz całej innej rzeszy nauczycieli z naszych ukochanych liceów, którzy tylko czekają, aby wstawić nam kształte jedyneczki, mamy jeszcze drugie sadyistyczne grono pedagogiczne tutaj na Miodowej. Tu także sypią się zaliczenia: setki zadań z harmonii, miliardy klasówek z historii muzyki, egzamin z forteklapu, stugłosowe dyktanda z kształcenia słuchu, etc., etc. A, no jeszcze egzamin z przedmiotu głównego i jakieś tam wyrafinowane numerki z pani Wacholc... Cholerka, ile ten biedny uczeń musi wydolić. A tu jeszcze żart najlepszy - oceny należy wystawić do 13. czerwca, zarówno tutaj, jak i w większości liceów ogólnokształcących. I właśnie tutaj zacząłem zastanawiać się bardzo głęboko, aż do rozrostu szpileczkowej głowy: czy nie ma innej drogi? Zastanówmy się, może dałoby się jakoś tak rozłożyć u nas zaliczenia, by wszystkie egzaminy nie były w tym samym czasie, bo w końcu dojdzie do tego, że będziemy musieli być w dwóch salach jednocześnie, np. zdając harmonię i coś innego.

I jeszcze jeden problem: pracy mamy dużo, ale czy możemy liczyć na zrozumienie innych?... Ostatnio dużo się mówiło o naszych kontaktach z Brzewskim. Mnie w nich śmieszy najbardziej jedna sprawa - ile razy bym nie rozmawiał z jakimkolwiek z licealistów, on zawsze powie, że

to im czasu na wszystko brakuje. Najbardziej dobija to, jeżeli słyszę takie mądrości od moich koleżanek z liceum ogólnokształcącego: "brakuje czasu", tak? A co ja mam powiedzieć? Dwie szkoły, w dwóch odległych punktach Warszawy, dom jeszcze gdzie indziej i kiedy tu się uczyć, skoro większą część dnia spędzam w autobusach? No, teraz to na szczęście jest metro, ale i to nie rozwiązuje wszystkich problemów. Smutne jest to, że nie możemy się nikomu wyżalić i mało kto nas rozumie. W szkołach dziennych naprawdę nikogo nie obchodzi, co uczniowie robią wieczorami. Szkoła muzyczna czy spotkania w pubach - im to wszystko jedno. Jeszcze gorsze jest to, że nawet rodzice nie zawsze nas rozumieją. Już nie pamiętam, ile razy matka krzyczała na mnie: "Tylko trójka z historii!? Synu, nie zabijaj mnie! Ani ja, ani twój ojciec nigdy nie mieliśmy takich ocen!". A przecież i na tą trójkę nieraz trzeba zapracować. W czasach, kiedy szkoły prześcigają się w tym, która lepiej uczy i więcej wymaga, nawet dwójka jest oceną rzeczywiście pozytywną, a trójka, czwórka to marzenia niejednego z nas. W końcu nie można być we wszystkim najlepszym na czwórki i piątki. Tutaj też są wymagania, dla nas wiele ważniejsze. Moja pani profesor zawsze powtarzała: "za kilka lat nikogo nie będzie obchodziło, co miałeś z historii, tylko jak potrafisz grać, a tego jeżeli się teraz nie nauczysz, tego już nigdy nie będziesz umiał". I chyba jest w tym wiele prawdy.

Jeszcze jedno: czy nasi rodzice rzeczywiście byli w naszym takim geniuszami, którzy na świadectwach mogli poszczycić się samymi celującymi ocenami? Szczerze wątpię. Osobiście znam dwa przypadki nadgorliwych rodziców, których niespełnione w młodości ambicje zostały przelane na dzieci. To dwóch uroczych tatusiów, pan Janusz i pan Marek. Jeden z nich, nie zdał egzaminu z polskiego do szkoły średniej. Drugi na maturze z matematyki wszystkie zadania schrząnił, a czwórkę dostał tylko dlatego, że sprawdzał je jego zaprzyjaźniony nauczyciel. Oczywiście obydwa panowie wymagali od swoich dzieci najwyższych wyników w nauce i już pięć mniej kwitowali stanowczym "bardzo ładnie, ale dlaczego ten minus?". I czy nie jest to paranoja? A może to taka hipokryzja wszechczasów i my też będziemy wymagać od swoich dzieci samych szóstek? Nie wiem, ale warto się nad tym zastanowić, gdzie mamy szukać pomocy - my, biedne, przepracowane sieroty z Miodowej 22c.

sz

Nasz komentarz

Zazwyczaj staramy się nie ingerować za bardzo w teksty, by nie traciły świeżości i oryginalności. Bywają jednak takie, których publikacja zrobiłaby ogromną przykrość tak znacznej liczbie osób, że lepiej w ogóle powstrzymać się od ich propagowania. Zwłaszcza pod szyldem Utforum, które nie chciałoby ociekać jadem. Dlatego nie zamieściliśmy poprzedniego tekstu Szpileczki. Jest to zgodne z zapisem w punkcie 3 Zasad publikacji w Utforum.

Powyższy tekst, ponieważ porusza tematy nurtujące wielu z nas, „puszczamy” - bez korekty i zmian - chociaż zdajemy sobie sprawę, że miejscami jest obraźliwy, nie tylko złośliwy. Ku rozwadze. Niech „upierdliwa baba z biologii, złośliwy dziad od historii, sadyistyczne grono pedagogiczne tutaj na Miodowej, dwóch uroczych tatusiów, pan Janusz i pan Marek” wiedzą, że są w ich otoczeniu różne szpileczki i „biedne, przepracowane sieroty”, które chcą zwrócić na siebie uwagę. Może to ich sposób wołania o pomoc!?

Jeżeli ktoś jest szczególnie zainteresowany wspomnianym powyżej nieopublikowanym tekstem Szpileczki, możemy go udostępnić.

Redakcja

Tych kilka cudownych lat w miodowej szkole

Czasami w pogodne dni rozsuwam firanki i otwieram wszystkie okna na oścież. Wyglądam wtedy na boisko pachnące kwitnącym bzem i pomazane czerwoną cegłą węzory do gry w klasy. W szkole naprzeciwko okna też są otwarte. Można przez nie zobaczyć nauczyciela przeglądającego dziennik. Parę dzieciaków gra w piłkę, konkurując piskiem z ptakami. Jest gorąco, leniwie. Zimno i nostalgia odeszły na kolejne parę miesięcy.



Który to już raz spotykam się z wiosną wystawiając głowę z sali 53, gdzie od dawna mam lekcje fortepianu. Biorąc pod uwagę, jak bardzo się zmieniłem i jak bardzo zmienił się świat, na który patrzę już zupełnie innymi oczami, na Miodowej byłam krótką chwilę. Jeżeli ktoś czytał „Czarodziejską górę” to rozumie, że czas jest względny, a chwila chwili nierówna. Raz czas się dłuży wręcz niemożliwie, a raz umyka. Umyka wtedy, gdy chcemy go zatrzymać.

Za parę dni gram dyplom, potem rozdanie świadectw, gratulacje, ktoś przełknie łzę, ktoś się nerwowo roześmieje, a ja pójdę do domu sam, obarczony jedynie ciężką walizką wspomnień. Wyrzucę je wszystkie na biurko i uporządkuję tak, jak porządkuje się stare wiersze, które nie pozwalają zapomnieć. To co pamiętam jest zawsze powiązane ze wspaniałymi ludźmi, jakich poznałem, jakich miałem szczęście poznać. Ludzi jak ta szkoła – miodowych.

Pani Dyrektor ..wydawała mi się osobą niedostępną i raczej mało towarzyską. Nic bardziej błędnego. Pod maską pesymisty kryje się barwny i wesoły człowiek, tryskający niezwykłymi pomysłami, człowiek wrażliwy i czuły, chociaż my, uczniowie dostrzegamy to rzadko. Ponieważ przez czas pewien z Panią Dyrektor miałem zajęcia z kameralistyki, trochę udało mi się ją poznać. Swoją ambiwalentną postawą do nauki i pracy, do

ćwiczenia na instrumencie stwarzałem wiele sytuacji stresogennych, prowokujących nawet perfekcyjnie opanowane osoby do gwałtownego uzewnętrzniania swoich uczuć. Przewlekłe zaniki pamięci powodujące chroniczne zapominanie nut, nagłe i ostre bóle żołądka, uniemożliwiające zgłębianie tajników kameralistyki, czy natłok nauki w liceum dopadały mnie przeważnie w poniedziałkowe zajęcia z panią Topolnicką. Ileż to razy wychodziłem z lekcji po upływie trzech minut od momentu położenia rąk na klawiaturze. Panie w sekretariacie śmiały się, że tak szybko gram. W dodatku zupełnie nie było mi wstyd – taki wiek. Szybko do holu spotkać kolesiów, skoczyć na piwko, bezalkoholowe oczywiście, żeby nie było, że rozpijam szkołę. A granie to mniejsza. Jakoś to będzie!

Jedna sytuacja związana z moim błogim debilizmem i, chyba dosyć naiwną, wiarą Pani Dyrektor w pozytywne przemienienie urosła już do rangi legendy. Rozmowa odbywała się przez telefon i brzmiała tak:

☎ Dzień dobry. Mówi Wojtek Siemianowski. Czy ja z panią...
☎ Co się stało Wojtusi? Nie możesz przyjść w poniedziałek?

☎ Właściwie to tak. Wyjątkowo ważne sprawy rodzinne.

☎ A co się stało? Coś złego?

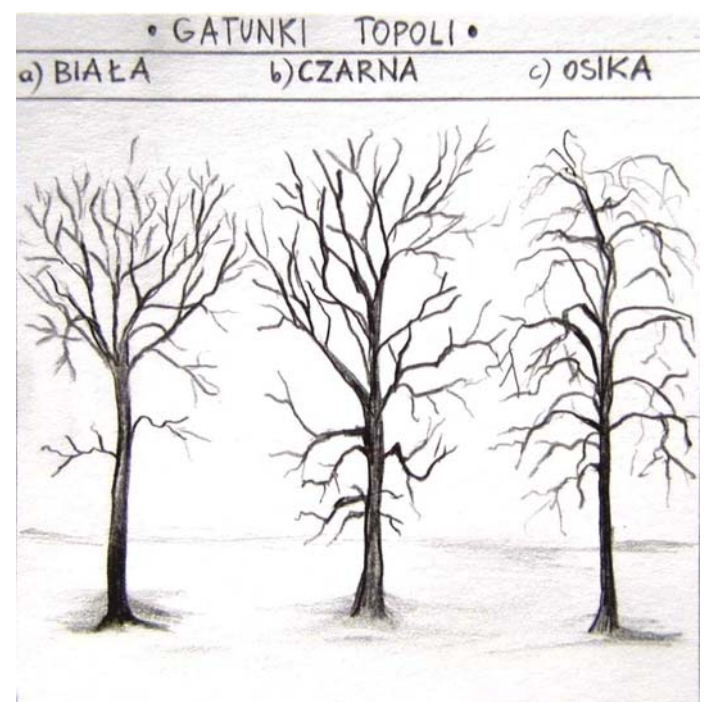
☎ Nie, wszystko dobrze. Wujek z Łodzi zaprasza mnie na kaczkę.

☎ Na co, jakie kaczkę?

☎ No, na polowanie i dlatego nie mogę przyjść. W słuchawce zapadła cisza, która jeszcze długo dźwięczeć mi będzie w głowie. Była to cisza po przegranej przez nauczyciela walce, gdy wszelaki oręż pedagogiczna pęka pod naporem ciężkiego lenistwa.

☎ A więc jedź! Miłej podróży.

W rok później akompaniament miałem już u kogoś innego. A szkoda, bo pod sam koniec zmądrzałem i nawet nieźle zakończyłem moją karierę kameralisty. Nie znaczy to jednak, że cały dyrekcyjny czas poświęcony mi został zmarnowany. Pamiętam dokładnie wiele trafnych uwag, podpowiedzi, które pomagają mi zawsze, gdy z kimś muzykuję. W dużej mierze to dzięki pani Topolnickiej czuję się wygodnie wychodząc z kimś na estradę. Dziękuję i przepraszam!



dział siemiąta

ciąg dalszy ze strony IV

Pierwszy zryw
...była piękna i grała na wiolonczeli. Poznałem ją, a właściwie zwróciłem na nią uwagę któregoś czerwca podczas recitalu pewnej skrzypaczki. Co było w programie owego koncertu nie pamiętam, ale pamiętam, że siedziała tuż przede mną w długim, skórzanym płaszczu, w którym wyglądała nieco wyzywająco i bardzo niezależnie. Jeżeli istnieje coś takiego, jak fascynacja od pierwszego wejrzenia, to właśnie było to. Nie znałem jej, nawet imienia. Widziałem tylko, że ma zielone oczy, które chciałem mieć tylko dla siebie.

Pamiętam doskonale pewne magiczne zdarzenie związane z bezpośrednim wpływem pozytywnych uczuć między dziewczyną a chłopcem. Zdawałem wtedy maturę, w dodatku z historii, co jak wiadomo nie należy do najłatwiejszych zadań i, co zabawne, panika ogarnęła mnie w dzień przed egzaminem. Do liceum wpadłem dosłownie na chwilę, właściwie to przypadkiem, i zobaczyłem, jak młodsze klasy ustawiają ławki w wielkiej sali gimnastycznej pomalowanej żółtą farbą olejną z błyszczącymi, drewnianymi drabinkami po obu stronach. Poczułem, jak powoli tracę kontakt z podłożem, dokładnie pamiętam, jak przed rokiem sam ustawiałem ławki dla maturzystów i szczerze współczułem starszym osłom. Teraz ja jestem starszym osłem stojącym w drzwiach sali, osłem za chwilę zdającym maturę.

Kilka godzin później spotkałem się z dziewczyną o zielonych oczach, która, gdy już się zegnaliśmy, wcisnęła mi w rękę błękitny kamień o niezwyklej kształcie, jakby zaprojektowanym dla mojej dłoni. W jednej ręce pióro, w drugiej cząstka istoty, za którą szalałem do obłędu, i matura przeszła bezboleśnie.

Teraz, gdy ważą się moje losy, jeżeli tylko nie gram na fortepianie, jedna ręka jest zawsze zaciśnięta na czymś, co dla mnie jest zabobonem, dla innych nostalgią, a dla mnie wspomnieniem czegoś niezwykle ważnego i pięknego.

Jasio Zakrzewski
...był niewątpliwie jedną z najciekawszych osób, jakie poznałem. Człowiek zjawiskowy, cudowny, inspirujący, fascynujący, jak narkotyk wciągnął mnie w orbitę swego uśmiechniętego i dobrego świata. Zawsze będzie bliski memu sercu.

Parę dobrych lat temu stukalem sobie na pianinku w pewnej miodowej klasie, gdy nagle, z łoskotem i trzaskiem otworzyły się drzwi. W pierwszej chwili ujrzałem czarną, smołową brodę i okazałe brzuszyko ubrane w czarny golfik. Za nimi wszedł pan profesor Zakrzewski i powiedział: "Wojtasku (nigdy wcześniej nie rozmawialiśmy) to są nutki, bardzo proste nutki, zagrasz w orkiestrze, gramy w S-1, będzie smakowicie. Plan prób wisi w hollu." Powiedział i poleciał, jak zwykle gdzieś się spieszył. Wojtasku, bardzo proste nutki, o co chodzi? Przecież ja nie mam czasu, przecież ja chodzę do liceum, a w przyszłym tygodniu mam klasówkę. Jaka orkiestra! Jaki ja tam Wojtasek?

I tak się zaczęło. I było cudownie. To bardzo dobrze, że profesor nie miał czasu wtedy ze mną rozmawiać i tym samym dać mi szansę do wymigania się.

W następnym roku szkolnym wymęczyłem dyrekcję o przyznanie mi fakultatywnych zajęć z dyrygentury, oczywiście u Jasia. Wtedy już mogłem rozkochać się w nim do końca, mając go tylko dla siebie całe 45 minut tygodniowo.

Niedawno z Mateuszem byliśmy na jego grobie. Leży na pięknym, zielonym cmentarzu porośniętym gęsto starymi drzewami. Ptaki fundują mu długie recitale, a my w ciszy rozmawiamy z nim. Ostatni raz widziałem go w filharmonii, w bufecie dla artystów. Mówił, że czuje się już lepiej i wyglądał na pogodzonego z losem. Pożegnał mnie długim spojrzeniem, pożegnał mnie lekkim uśmiechem, trochę przez łzy, trochę z

obawą tak jak mistrz żegna swego ucznia. Nie wiedziałem wtedy, że dwa miesiące później będzie już dyrygował dla innego świata.

Przedsionek dyrekcji, czyli sekretariat
Czy chciałem czy nie, sekretariat był pierwszym miejscem, do którego chadzałem składając papiery do szkoły. Nie licząc pani Vaci, która jeszcze wtedy raczej mnie nie zauważała, panie sekretarki były osobami pierwszego kontaktu. Panią Hanię pamiętam doskonale, od razu utkwiła mi w pamięci, ale pani Basia chyba jeszcze wtedy, to znaczy pięć lat temu, nie pracowała. Z panią Hanią miałem trochę kłopotów, a ona ze mną, ponieważ jako bałaganiarz nie spełniałem wszystkich formalności – za mało zdjęć, źle wypełniony formularz, brak kodu pocztowego i takie tam głupstwa, które mnie zupełnie nie obchodziły. Ale co tam opowiadać o początkach, gdy jako jeden z wielu kandydatów traktowano mnie jako numer. To przecież normalne. Ciekawe, czym mogłem dać się zapamiętać pracownikom pracowniczkom przedsionka dyrekcji. Po pierwsze chyba tym, że z uśmiechem wylaływałem z lekcji od pani Topolnickiej i jeszcze w locie zdążyłem poczęstować się jakimś herbatniczkim czy czekoladką. Pewno robiłem wrażenie takiego typu chłopców, który można określić jako czarujące debile. Mimo to lubiliśmy się zawsze, zawsze troszeczkę ploteczek kto z kim i po co. Zawsze jak chciałem się czegoś dowiedzieć drogą niezawodnych i sprawdzonych źródeł, udawałem się do rozświetlonego światłami ekranów pomieszczenia na parterze. Jeżeli drzwi do gabinetu pozostawały bezpiecznie zamknięte, hulaj dusza pogawędki na całego!

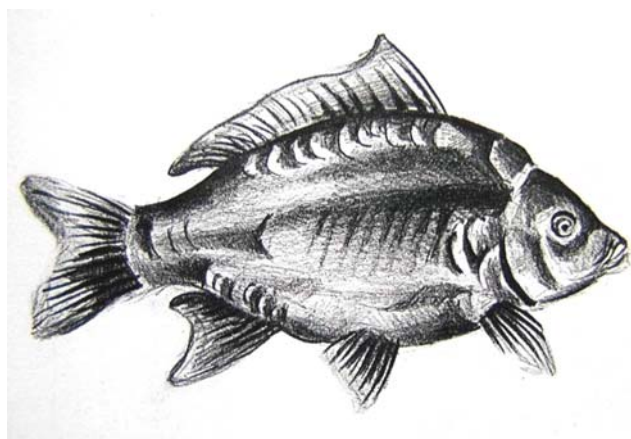
Obie nasze kochane panie są od siebie inne chyba pod każdym względem. Od wyglądu zewnętrznego po tajniki charakteru i duszy. Podczas gdy pani Hania potrafi i lubi rzucić siarczystym mięskiem i śmieje się perliście z dosadnych dowcipów, pani Basia zdobywa się na pewien dystans i umiarkowanie, chociaż śmiech też ma piękny. Z kolei podpaść pani Hani, w czymś jej się nie spodobać oznacza śmierć towarzyską w obrębie biura. Pani Basia jest chyba bardziej wyrozumiała i potrafi łatwiej przebaczać głupkowatym wybrzykantom. W każdym razie dzięki owym barwnym i silnym osobowościom nasz sekretariat mieni się energią i ciepłem, jaki mogą stworzyć jedynie kochane kobiety.

Pani Radziwonowicz
...dzięki której nie zwątpiłem w połowie drogi i doczekałem swojego recitalu dyplomowego. Jak wiadomo życie nie składa się z samych sukcesów, porażki mniejsze czy większe dopadają każdego z nas. I coś z tego, niektórzy twierdzą, że właśnie walka z przeciwnościami losu nadaje kolorów szarej egzystencji. Ja osobiście jako nastolatek przeciwności miałem wiele, zresztą sam je sobie fundowałem. Praca nie była niewątpliwie moją pasją, ćwiczenie było mi raczej obce. Przecież świat jest tak intensywny i frapujący, że spędzanie godzin nad jakimś zajęciem wydawało mi się czystą stratą czasu. Wszystko pięknie gdyby nie egzaminy końcowe, gdzie nikogo nie obchodzi fakt poznawania przejawów młodości przez jakiegoś barana, czy baranicę. Trzeba wyjść i szacownej komisji udowodnić, że pieniądze podatnika złożone na edukację nie rozplywają się niepostrzeżenie w oparach dymu Marcinków, Prohibicji, Czternastek i innych wysmienitych warszawskich lokali. Pewnego roku, a właściwie pod koniec pewnego roku nie zdołałem w pełni usatysfakcjonować profesorów moją grą i udzielono mi rady, abym zastanowił się nad kontynuowaniem nauki w szkole muzycznej. Cóż, co prawda to prawda, w końcu jest tyle ciekawych zawodów poza byciem muzykiem. Oczywiście głęboko się obraziłem i już następnego dnia po feralnym "popisie" wybierałem się do sekretariatu zabrać moje dokumenty. Chciałem trzasnąć

ciąg dalszy na stronie VI

ciąg dalszy ze strony V

drzwiami, a jeszcze wcześniej powiedzieć, że mam to wszystko w nosie. Planu owego nie zrealizowałem, gdyż zadzwoniła do mnie pani Radziwonowicz i zaprosiła na rozmowę kolejnego dnia. Ponieważ profesora owego cenię bardzo, wstrzymałem się z decyzją o rezygnacji ze szkoły, jak już wiadomo, na zawsze. Nie pamiętam dokładnie, co sprawiło, jakie słowa dotarły do mojego łba, że zrozumiałem do kogo mogę mieć pretensję. Wiem tylko, że wyszły one od człowieka szczerze dobrze mi życzącego, i po prostu zupełnie bezinteresownie martwiącego się o mnie. To rzadkie, tym bardziej trzeba doceniać każdy gest serdeczności. Czasami krótka rozmowa potrafi odmienić życie. Niezwykłe.



Moja Pani...dałem Mojej Pani od fortepianu do wiwatu chyba strasznie. Taka dawka emocji, różnych emocji może przyprawić o nerwicę nawet najbardziej opanowanego zawodowego szachistę, a co dopiero emocjonalną i wrażliwą pianistkę.

Historia mojej "kariery" to sinusoida ciągłych wzlotów i upadków odzwierciedlonych skrupulatnie w arkuszach ocen – od najwyższych po może nie najniższe, ale dosyć kiepskie. Nie będę jednak pisał o tak nieważnych już teraz kłopotach i błędach młodości.

Granie na instrumencie jest formą pokazywania komuś kawałka swojej duszy, kawałka najszybszej prywatności i intymności. Pogardzić sztuką artysty, nawet bardzo młodego, to tak, jak zakochanej prychnąć w twarz, a może jeszcze gorzej? W każdym razie bycie nauczycielem sztuki, wymagającym, lecz nieprzekraczającym pewnych granic

jest godne podziwu i największego szacunku. I taki żywię dla mego mistrza. Musiało być niezwykle doświadczeniem obserwować zmiany zachodzące we mnie przez pryzmat mojej muzyki. Do szkoły przyszedłem jako niepewny siebie gówniarz, odchodzę jako dwudziestoletni koleś, który formalnie jest dorosły.

Życzę każdemu, aby miał to szczęście i mógł powierzyć swoje najwrażliwsze kawałki duszy komuś, kto na to zasługuje i nigdy nie zrani.

Ici wszyscy pozostali...o których nie zdążę napisać osobnych rozdziałów, chociaż bym chciał. O Mateuszu, twardzielu o zbyt miękkim sercu jak na człowieka XXI wieku, o mojej kochanej kuzynce, która sprawia, że jestem lepszym człowiekiem, o Ance Turczyńskiej najlepszym źródle informacji szkolnych i wielu innych bratnich duszach, o których nie wspomnę na papierze, chociaż są we mnie obecni. Nie napiszę też o tej, która wykradła moją serce i schowała w sobie, chociaż pewno najbliżsi dobrze wiedzą o kogo chodzi.

Tak myślę, czy te parę historii to pożegnanie, osobisty ukłon dla przeszłości? Chyba tak, ukłon w stronę ludzi, wśród których przeżyłem najpiękniejsze chwile życia. Którym tyle zawdzięczam i którym nie zawsze wystarczająco odwdzięczałem się.

Tak więc dziękuję i żegnajcie, drodzy Przyjaciele!!!

Wojtek Semerau - Siemianowski

Wenus

Za siedmioma morzami
Za siedmioma górami
Za siedmioma rzekami
Za siedmioma lasami
Za siedmioma blokami

W dalekim Ursusie urodziła się i dorastała dziewczyna. Nie była to jednak zwykła dziewczyna. Miała wygląd Wenus i duszę anioła. Minęły lata i Wenus zdała do naszej szkoły. Jest tu od niedawna – gra na drewnianym instrumencie, który żyje dzięki jej oddechowi. Instrument jest od niej skrajnie różny – ma bardzo silny, niski i męski głos, lecz wbrew pozorom świetnie do siebie pasują. Wenus od pewnego czasu ma wrażenie, że świat jest ponury i okrutny – jest bardzo smutna, ale wystarczy jeden gest, uśmiech, podanie dłoni, żeby była szczęśliwa. Można ją spotkać w podziemnej krainie: idzie piękna (jak zwykle), lecz smutna, nic nie mówi, ale jej spojrzenie błaga o uśmiech lub dobre słowo. Radzę Wam, Ludziska, zaprzyjaźnijcie się z nią, to naprawdę nie jest zwykła dziewczyna!

Jej koleżanka

OGŁOSZENIA DROBNE

Aaaaaby pracę redaktora podjąć, prześlij c.v. wraz z listem motywacyjnym pod adresem: magis@post.pl.

Ambitnego fotografa zatrudnię na zlecenie. magis@post.pl.

Do redakcji nieregularnika przyjmujemy uczniów. magis@post.pl.

Dziennikarza z polotem zatrudnię. magis@post.pl.

Gońca do redakcji. magis@post.pl.

Młodych do redakcji czasopisma. magis@post.pl.

Młodych, energicznych, pomysłowych do prac dziennikarskich i redakcyjnych. magis@post.pl.

Praca sezonowa: wrzesień-czerwiec. Dystrybucja gazety. Wiadomość: magis@post.pl.

Praca w redakcji gazety od września 2001. Zgłoszenia przyjmujemy pod adresem: magis@post.pl.

Przyjemna praca biurowa. Pisz: magis@post.pl.

Różne prace redakcyjne zlecę. magis@post.pl.

Uczniów szkoły muzycznej zatrudnię w redakcji Utforum. magis@post.pl.

Uczniów i praktykantów dziennikarskich. magis@post.pl.

Zdolnych dziennikarzy. magis@post.pl.